

MIROŚŁAW DOBRZAŃSKI.

POEZYJE.



NAKŁADEM AUTORA.

KRAKÓW.

Z Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

—
1879

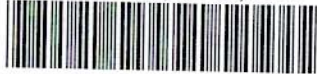
Zbiory specjalne

k-97/74

43757



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 6 4 2 1

SŁOWO WSTĘPNE.



uszczać w świat tę nową wiązanek naszych myśli i uczuć, nie liczymy bynajmniej na szersze koło czytelników, ani idzie nam o to, jaki sąd o nas orzecze z swego wyrocznego trójnoga, nasza najczęściej jednostronna, acz pełna w sobie zaufania, krytyka.

W podaniu do druku niniejszych kartek, autor poszedł jedynie za podszeptem własnego serca, wierząc w to niezłomnie, że nigdy, a tem mniej dzisiaj, nie zbraknie naszemu społeczeństwu na małej choćby garstce ludzi, dla których poezycja nie będzie li tylko czechem mamidłem, ale jednym z tysięcznych objawów życiowej prawdy i, na równi z filozoficzną syntezą, najpiękniejszym kwiatem ludzkiego ducha.

Dla utwierdzenia téj nielicznej choćby garstki wiernych w jój przekonaniu, pozwolimy sobie przytoczyć słowa Buckla, który, jako prawdziwy myśliciel, tak się pod tym względem wyraża: „Jest w poezyi boska, prorocza siła i pogląd w tok i istotę rzeczy... Uczucia są tak dobrze częścią ducha naszego jak i rozum; są one równie prawdą i równie słuszną mieć się zdają“.

Może się zdarzyć, że wielu z naszych czytelników, poprzestając bardziej na formie jak treści, i szcędząc pracy w odnalezieniu przewodniej myśli kierującej poglądami autora niniejszego zbiorku, znajdzie w nim pozorne tu i ówdzie sprzeczności. Dla tych dodaję co następuje:

Wyznawca teorii przyczynowości tak w przyrodzie jak i w dziejach ludzkiego bytu, niemniej jednak, autor w sferze tych ostatnich, dostrzega na każdym kroku utajony i wyłamujący się co chwila z odmetu pierwiastek Boskiej Wszechmocy. Ona to sama, przed wiekami, postawiwszy za najwyższą zasadę bytu prawo postępowego rozwoju i sama się nim dobrowolnie ograniczywszy, rozkazała życiu płynąć tém a nie inném korytém, aby nareszcie z czasem, znalazłszy najwyższy wyraz swojego *Ja* w własnem stworzeniu, w przyszłej ludzkości, w niej

i przez nią, kochać, cierpieć i zwyciężać, gwoli swemu urzeczywistnieniu się, gwoli ostatecznemu kiedyś tryumfowi dobra nad złem, prawdy nad fałszem!

Stanowisko więc nasze pod względem filozoficznym, polega na pogodzeniu wiary w Istność Najwyższą z nowemi rezultatami wiedzy, dotyczącemi prawa rozwoju dziejowego i powszedniego życia. Stanowisko to wydaje nam się jedynie bezstronném i jedynie zgodném z prawdą.

Jakiém ono jest gdzieindziej, o tém już sam czytelnik z łatwością się przekona.

Warszawa 1 Stycznia 1878 r.

Autor.

FRAGMENT.

— 83 —

„Życie to męka“ — Janko? więc chciałbyś
Zgnieć tu w beczynie?

Życie to walka, a twa męczarnia
Wiesz-li zkad płynie?

Snać nie znasz życia: łzy, ból, pragnienia,
Wszystkie — daremne,
Pokąd ci mądrość w nim nie rozjaśni
Tego, co ciemne.

Wiedz, że już ziemia przestała płynąć
Mlékiem i miodem;
Że musisz walczyć na każdym kroku
Z chłodem i głodem;

Wiedz i pamiętaj, że walka właśnie
Życia żywiołem;
Żeś przejść powinien wśród jej zapasów
Z pogodnym czołem.

Czyż łódź swą oddasz na wiatru wolę?..

Patrz-że, już tonie...

Do rudla! żwawo młody żeglarzu!

Ster w krzepkie dłonie!

Jeno się nie skarż, że twoja łódka

Wątła i krucha:

Możesz wybawić ją od rozbicia

Potęgą ducha!

Niech tylko ufność, miłość a mądrość

Ci towarzyszą —

Na głos twój gromki i huragany

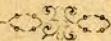
Wnet się uciszą.

A choćbyś nawet legł zwyciężony,

Nie zginiesz marnie:

Świadki twych czynów, Dyjogenesową

Zgasim latarnią!



DO PRZYJACIÓŁ LUDZKOŚCI.



Przed bracia! już nam jaśniej
Już przesądów pierzcha noc,
Przemięły fałszów wieki,
Czas odrodzin niedaleki

Jeno trzeba mieć nam moc!

Moc mieć trzeba — to dziś znaczy

W własnej woli ufać hart;

Zdobyć mądrość i podolać

Każdej sprawie — i nie wołać,

Że to robi Bóg, to czart.

Nową świat dziś kroczy drogą,

Modlitw łyż mu nie pomogą,

Nie pomoże płacz i strach;
 Precz z prośbami i ze łzami:
 Raz na świecie
 Czas już przecie
 Przystać nam być nędzarczami,
 Własną siłą stawić gmach.

Więc do cegieł, héj! do kielni!
 Z hardém czołem, jasném okiem,
 W mrówczej pracy krok za krokiem
 Jak szermierze idźmy dzielni!

Po przed nami święte cele —
 Czas spełnienia przyszedł na nie;
 Skoro rzekniem „stań się“ — stanie,
 „Razem młodzi przyjaciele!“

Razem młodzi przyjaciele!
 Czas szybuje orlim lotem
 I nam przybrać orłów postać;
 Srom i hańba w tyle zostać
 Miecz do pochwy — bój na potem!

W przyszłość idziem! Hasłem naszym:
 Prawda, światło, myśl i trud!
 Choć po drodze chwast i zielska,
 Cierń i głóg, my się nie straszym,
 Bo przyszłości twarz anielska
 Bo wraz z nami pójdzie lud.

Z hasłem takim w gruz rozsypiem
 Jezuickich piekło zbrodni,
 I przy nowych prawd pochodni
 Na pogrzebnój staniem stypie.

Trud i prawda. Z nimi wszędzie
 Duch nasz przejdzie — i zwycięzki!
 Żadne go nie zgnębią kłęski,
 Co zbuduje — trwałém będzie.

Z nimi, kiedyś, za dni wiele,
 Gdy przenikną już świat cały,
 Swój przeszłości gmach spruchniały
 Przyjdzie ludom na proch stłuc:
 Więc i my dziś z nimi śmieje,
 Naprzód! młodzi przyjaciele

Pamiętajmy: „cheieć — to módz“.



Z PODRÓŻY DO RUIN JĘŁZY.

Byla wiosna; więc wszystko świąteczne i nowe.
Ziemia się ubierała w swe szaty godowe,
Sposobiąc się do uczty z owoców i mleka.
Jechałem pośród lasów; na ich tle daleka
Droga wijąc się przodem, zdała się jak wstęga,
A świat, jak ręką Boga zapisana księga.
Słońce powstawszy ze snu, i w kąpieli rosy
Obmywszy tarcz swą świetną, wbiegło na niebiosy
Jasne, czyste, a bliskie już połowy biegu,
Pozłacało krajobraz od brzegu do brzegu.
W jego blasku rój ptactwa trzepiąc się radosny,
Świergotliwą swą pieśnią głosił powrót wiosny
I z szybkością jaskółki lub wodnej rybitwy,
To swawolny, powietrzne wiódł z sobą gonitwy,
To po gałęziach sosen wieszał się i czepiał
Wyrzewając na słońcu — to znów gniazda zlepiął.

A nie mogąc nasycić się szczęścia nadmiarem
Całą przestrzeń napełniał muzyką i gwarem.
A las szumiał i szumiał dumy tajemnicze:
Coś jakby rozповідаł swe czasy dziewicze,
Coś jakby zadumany o przeszłości gwarzył,
I raz jakby się skarżył, to znów jakby marzył.
Po za nim, w oddaleniu, z jasnego błękitu,
Słyszać było skowronka pieśń pełną zachwytu
I bezbrzeżnej miłości — z nią, wpływał do duszy
Przeciągły, melodyjny głos fletni pastuszej.
Cudny koncert! jak gdyby z kwiatów aromatem
Pan Bóg lesbijską lutnię zawiesił nad światem
I z ojcowską miłością, z tych cudów przyrody,
Wszystko swoje stworzenie zapraszał na gody.
Nigdzie na dole smutku, nigdzie w górze chmurki:
Tam błękit — tu zieloność, las, za nim pagórki
Pełne jagód, a dalej, jak balsam na serce,
Przynoszą woń z po za nich kwietne łąk kobierce.
I czujesz, że ci w duszy tak błogo i jasno,
Jak kiedy wszystkie ognie sprzecznych uczuć zgasną
I zmilkną w piersi ludzkiej namiętności burze.
Słońce dobiegło szczytu. Wzrok utkwilem w górze,
A widząc niespodzianie pośród nieba głębi
Rozpierzchłą ékę obłoków, jak stado gołębi,
Tehnieniem wiatru z zachodu na wschód nieba gnane,
I przeczuwając blizką w powietrzu odmianę:

Już zacząłem żałować owych słodkich wrażeń,
 Myśl zwracać do podobnych w swém życiu wydarzeń,
 Dumać o wiecznej w świecie wrzawie i rozterce,
 Próżnych żądzaach spokoju — gdy wraz, całkiem różny
 Widok, w odmienną stronę zaniósł myśl i serce.

Z cieniów leśnej gęstwiny, mój wózek podróżny
 Wynurzał się pomалу na błonia otwarte.
 Lecz te, miast zbożnych łąków, nagie i odarte
 Z owój bujnej zieleni, jaką ludzka praca
 Z miłością swą rodzinną ziemię ubogaca;
 Zostawione odlogiem i pługiem nietknięte,
 Martwe (choć wkoło nich wszystko uśmiechnięte
 Nowém życiem), zarosłe cierniem, ostem, głogi,
 Smutny sprawiały obraz. Za temi odłogi,
 W dalekiem oddaleniu jak zasięgnie oko,
 Czerniały mnogie punkty: to właśnie domostwa
 Starodawnego grodu. Nad niemi, wysoko,
 Jak posiwała macierz wśród prawnuków mnóstwa,
 „Na wyniosłym, najwyższym z gór sąsiednich szczycie,
 Usiadła stara baszta“.

Jedźmy! śmierć i życie

To temat do rozmyślań. Czemuż, gdy dokoła
 Maj kwitnie i przyrody wkrąg brzmi pieśń wesoła,
 Ta ziemia świeci pustką i sterczy ruiną?...
 Żali ludzkie zabiegi tak tu marnie giną,

Że i pracy nie warto? — lecz taż sama gleba
 Była niegdyś tak słynną z obfitości chleba.
 Czy może dziś dotknięta świeżej kłeską wojny?
 Lecz byłże dawny żywot jój kiedy spokojny,
 A jednak nikt nie widział jój trapionej głodem;
 Świat ją nazywał mlekiem płynącą i miodem.
 Cóż więc ją dziś tak pustą i ubogą czyni,
 Że po rodzajnych łąkach błądzisz jak w pustyni?

Ach! są w życiu człowieka, są i w życiu ludów
 Chwile smutne i czarne, jak przepaści oko;
 Myśl wprzód orla, przestając szybować wysoko
 I zapadając w letarg czeka boskich cudów.
 Dopiero, gdy łez czara spełni się po brzegi,
 Z pomocą nikt nie spieszy i cud się nie iści:
 Nowych się bojowników tworzące szeregi,
 Zaczynają żałować straconych korzyści!...
 Dawneż czasy, gdy wstawszy z śmiertelnej pościeli
 Syzyfową-śmy pracą na nową poczęli?
 Dawneż czasy, gdy zamiast prac i życie gwarne,
 Widziałeś wkoło braci twych błędzące cienie,
 Półsenną ich pielgrzymkę i lica cmentarne,
 Na licach wszędy ryte smutek i zwątpienie?...

Tak wbiegłszy, z świata zjawisk, nagle w myśli światy,
 Rzuciwszy jednodniowe i troski i biedy,
 Marząc szczęśliwą przyszłość: anim wiedział, kiedy
 Wjechałem między miejskie starój Ilży chaty.




Było późno, już słońce na zachodzie gasło,
 W mieście zalegał spokój, milkłyienne gwary,
 I tylko, z szumem wiatru, zmrok wieczora szary,
 Niósł ziemi tęsknych marzeń i spoczynku hasło.
 Niebo, na obraz duszy, tracąc blaski słońca,
 Zarumienione wstydem u jednego końca,
 U drugiego się kryło w czarnych chmur zasłonę.
 Na tle jego posępnym, gdy wszystkie w natłoku
 Barwy i kształty, w zmierzchu, niewyraźną oku
 Brały na siebie postać; gdy stały zamglone
 W chaotycznym nieładzie; gdy zmrok, tajemnicze
 Stwarzał jakies z nich widma, a wiatr już poczynął
 Jęk nocny: na tle nieba posępnym, jedyna
 Wśród chaosu, szczytniała wiekami oblicze
 Ukazując — sterczała samotna ruina!

Widnokrąg wiankiem czarnych borów opasany,
 Zdawał się w cieniach zmroku jak przeszłości cmentarz:
 Gdzie spojrzeć, wszędzie ciche usiadły kurhany,
 Przed okiem duszy staje tłum dziejowych zdarzeń,
 Pierś drży tysiącem smutnych to radosnych wrażeń,
 Słychać pacierz... głos jakiś szepce: „czy pamiętasz?“..
 Rój widm powstaje ze snu; magnetyczna siła
 Wiedzie mię, jak sennego blask księżyca błądy,
 Gdzie przysypane gruzem dawne Ojeów ślady,
 Oby mi się choć chwila z ich życia przyśniła!

Z dreszczem tego pragnienia, snów gorączką w duszy,
 Spiesząc coraz to szybciej choć meta już bliska,
 Kiedym nakoniec stanął wśród grobowej głuszy
 Na samym ruin szczycie, nowy król zamczyska,
 Było już całkiem ciemno i chmury dalekiem
 Czarném się dookoła pasmem rozpostarły,
 Gasząc ostatnie blaski. Ruch i gwar zamarły,
 Nastala noc i cisza — jak pod trumny wiekiem.

Zamieć Zimowa.

 ich z północy zaciąga
Niesie śniegu tumany,
Ślad dróg wszystkich zawiany,
Śmierć się życiu uraga;
Bo dłoń zimy zakrzepła
Mrozi jasny źródło ciepła,
Wichr z północy zaciąga.

Jego dzikie poświsty
Grzmia jak groźba złowieszczą,
Która światu obwieszcza
Dzień posepny i mglisty,
Jak to niebo nad głową
I te w noc dziś grudniową
Dzikie wichru poświsty.

Pusto, głucho i ciemno,
Wyją wilków gromady,
Myśl ostatniej zagłady
Budzi trwogę tajemną:
Wśród jej błędnych omamień
Przyszłość mileczy jak kamień,
Pusto, głucho i ciemno.

Więc gdy konać nam trzeba
Pod zaspami śnieżnemi,
Snać, że piekło na ziemi
Potężniejsze od nieba;
Snać, że w zgiełku rozbicia
Śmierć silniejsza od życia
Kiedy konać nam trzeba.

Precz cmentarne te mary!
Precz okrzyki bluźniercze
I sny ducha mordercze,
Stare, jako świat stary!
Znane drogi nam mlecze,
Znane prawa odwieczne —
Precz cmentarne więc mary!

Śmierci nie ma na świecie
Tylko życia przemiana:
Z nocy — jutrznia różana!

Czemż są śnieżne zamiecie,
 Gdy pod śniegu przykryciem
 Wszystko nowém drga życiem?...
 Śmierci nie ma na świecie!

Światła tylko i ciepła!
 Jasnych słońca promieni!
 A wnet, szmerem strumieni
 Drząc pierś ziemi, rozkrzepła
 Pod ożywczym tchem wiosny,
 W chór nam zabrzmi radosny!...
 Światła tylko i ciepła!



Z BULGARSKICH RZEZI.



rok już zapadał; słońce całodzienną
 Znużone drogą, z wysilenia mdlało,
 Nakoniec tarczę swą krwawą, płomienną,
 Na widnokregu oparłszy, skonało.
 Świat jeszcze szumiał przytłumionym gwarem,
 Niknącym zwolna, gdy z przeciwnéj strony
 Wstał bładny miesiąc, na tle nieba szarem
 Rozsianych światel zadrżały milijony,
 I wszystek przestwór i krajobraz cały,
 Srebrnego blasku powodzią oblały.

I zwolna, z nocy gęstniejącym zmrokiem,
 Wraz coraz głębsza wkrąg cisza osiada,
 Ziemia się niebu z swych marzeń spowiada,
 Wreszcie znużona, tonie w śnie głębokim.

Napróżno jednak noc swój cień rozściela
 Po nad wykletą pogněbionych głową:
 Dzikość łupieżcy, chciwość niszczyciela,
 Nie mogąc patrzeć na czystych sen błogi,
 Przychodzą krwawe, by łuną pożogi
 Cały widnokrąg rozwidnić na nowo.

* * *

W bułgarskiej wiosce, ledwie ludność cała
 Legła po pracy słodkim snem ujęta,
 Nagle się budzi przerażeniem zdjęta,
 Wybiega z domostw, załamuje dłonie,
 Patrzy — niewierzy: cała wioska płonie,
 W wiosce plondruje tatarska nawała.

Nim z pierwszej trwogi ochłonał — aliści
 Padając jeden już w własnej krwi broczy;
 Drugiego nagły błysk mieczów otoczy,
 A on bezbronny, patrząc w tłum siepaczy,
 Ginie w męczarniach bezsilnej rozpaczy...
 Sam Bóg nadziei ratunku nie ziści!

Jęk siwych starców pośród krwi strumieni,
 Ohyda dziewic, płacze niemowlęce,
 Krzyk dzikich bluźnierstw i wrzaski zwierzęce
 Krwią pianej tłuszczu, mord wrzący zaciekle:
 Oto jest obraz. Nad nim, tak jak w piekle
 Morze czarnego dymu i płomieni!

Po samym środku téj sceny okrutnej,
 W łunie pożaru, co krwawi obłoki,
 Zgraja najeźdźców wbija pał wysoki
 Trzymając jeńca, który śmiał, zuchwały,
 Jednego z katów rozszarpać w kawały,
 A teraz stoi samotny i smutny.

Ach! zanim jutro więcej krwi popłynie;
 Nim wróg ztąd pójdzie a słońce wschodzące
 Ciała twych braci ujrzy w krwi drgające;
 Zanim nad nimi przychodziień zapłacze,
 Lub żerujących kruków tłum zakracze:
 Ty musisz zginąć, jak pies Słowianinie!

Lecz niech ci trwoga serca nie przenika,
 Chociaż czerń wrzaskiem tryumfu zabrzmiała;

.
 Stało się!...

W miejscu, kędy wioska stała,
 Pierwszy brzask ranka, nad zmarłych gromadą,
 Oświecił w polu naga, trupio-bładą;
 Żyjącą jeszcze postać męczennika.

Tak przewiał straszny tatarski huragan;
 Lecz pamięć, którą zostawił po sobie,
 Nie zginie razem z umarłymi w grobie:
 Wielka i krwawa, przejdzie w czas daleki,
 Z ojca na syna — i przetrwa na wieki
 Jako Bóg w niebie za krew nieprzeblagan.

Dziś znowu cicho... W pamiątek kościele
 Zostały jeno krew, gruzy i zgliszcza,
 Z ołtarzów ludu zwalone bożyszcza,
 Sam lud, jak Chrystus przybity do krzyża;
 Ale zmartwychwstań czas się już przybliża,
 I jak człek z prochu — z krwi wstają mściciele!

HYMN.

CHÓR.



Niepojęty, choć przedwieczny,
 Pogńębionych Wielki Boże!

Czyż pokoleń tylu praca
 Darmo wiedzą nas wzbogaca,
 Że świat poznać Cię nie może,
 Niepojęty choć Przedwieczny
 Pogńębionych Wielki Boże!...

SOŁO.

W jasnych słońce kręgach, w piersi człowieczój,
 W królestwie żywych, czy martwych brył,
 Tyś jest jedyném źródłem wszechrzeczy,
 Tyś jest istotą widomych sił.

Za cóż więc z mglistych krain wróceni
 Tak ciężki z sobą staczamy bój?...
 Bo pragniem z ojców win oczyszczeni,
 Byś w sercach naszych miał ołtarz swój.

CHÓR.

Niepojęty choć Przedwieczny
 Pognębionych Wielki Boże!
 Wszak pokoleń tylu praca
 Nienapróżno nas wzbogaca;
 Świat Cię kiedyś pozna może
 Niepojęty, choć Przedwieczny
 Pognębionych Wielki Boże!

SOLO.

Nie nadaremne trudy wiekowe
 Nie bezowocna walka ach, nie;
 Ludzkość swój drogi ledwie połowę
 Zbiegłszy — już widzieć cel pragnień chce.
 Wiecznie za szczęściem w krwawej pogoni,
 Koroną z cierni zdobiąc swą skroń,
 Z szczytów Golgoty swojej się kłoni
 W przepaść zwątpienia!...

SOLO.

Broń ją więc — broń!

Niepojęty choć Przedwieczny
 Pognębionych Wielki Boże!
 Wszak pokoleń tylu praca
 Nie napróżno ją wzbogaca?
 Broń ją, a zmartwychwstać może
 Niepojęty, choć Przedwieczny
 Pognębionych Wielki Boże!

PRZESTROGA.

Bądź spokojny: zaufaj prawdzie i prawości,
 A z trudnej drogi życia chcesz-li zniżyć zwycięzko,
 Nie zrażaj się chwilowym zawodem, ni klęską —
 Wależ dla kraju i swoich, a w nich, dla ludzkości.


Prawdy szukaj w wszechświecie, a prawości w życiu;
 Serce niechaj ci łodzią, rozum sterem będzie;
 Czerp z wzorów, daj wzór z siebie i miej to na względzie,
 Aby działać i mówić głośno, nie w ukryciu.

Zawiści się nie lękaj: śród powszechnej wojny
 Prawdy z fałszem; gdy umysł znużony się gmatwa;
 Najprostszą drogę w życiu znaleźć rzecz nie łatwa,
 Ale zdobywszy mądrość, bądź o to spokojny.

Odpoczynku nie pragnij: niech ta walka cicha
 Po za grób się przedłuża, wprzyszłych dni zwycięstwo;
 Nasz dziś tryumf: hart ducha, i to nowe męztwo
 Co się nigdy ni skarży, ni płacze, ni wzdycha.

W dniach nieszczęść, takim męztwem i miłością zbrojny,
 Niosąc pochodnię światła lękanej wspólbraci,
 Idź wytrwale, nie myśląc, czém ci się odplaci
 Idź wciąż naprzód — wpatrzony w jej przyszłość — spo-
 kojny.

NA OKŁADCE ROMANSU.

...  yło ich dwoje — i w całym domu
Nikogo więcej. Zmrok, pokryjomu,
Tylko się wciskał i gwiazd gromadka
Patrzała w okno, a wreszcie w izbie,
Prócz psa wiernego, co siadł na przyzbie,
Pusto — nie mieli żadnego świadka.

Schodząc się codzien, tu o téj chwili
Razem się śmiali, razem smucili,
A gdy obległy ich marzeń roje,
Tu się zwierzali sobie nawzajem.
Tak każdy wieczór był dla nich rajem
Niebem na ziemi... było ich dwoje!...

Gwarzyli zwykle długo i słodko,
On ją nazywał swoją szczebiotką,

Ona go zrazu swoim sokołem;
Wkrótce go jednak darząc równiankiem,
Nazwała prosto swoim kochankiem,
On ją — świetlanym swoim aniołem.

I za jój rzewną miłość, w podzięcie,
To jak do świętej swój składał ręce;
To miękką dłoń jój tuląc w swój dłoni,
Raz coś o ślubnym szeptał kobiercu,
To cisnął do ust, to kładł na sercu,
I cały drżący siadał koło niej.

Oczarowani i zachwyceni,
Marząc świat jakiś wówczas z promieni
Dźwięków i woni; szczęścia godziną
Mierząc długiego życia koleje:
Niedoświadczeni, mieli nadzieję,
Że im tak wszystkie dni ich przeminą.

* * *

Choć to światowy karcie obyczaj,
W dziejach serc dwojga bywa zazwyczaj:
Przychodzi chwila chcący niechcący,
Którój nie kazi żadna myśl zdrożna,
Lecz już w pierś uczuć zmieścić nie można —
Wtedy je łączy uścisk gorący.

Tak się nakoniec i tu stać miało.
 Raz, gdy jak zwykle już się zciemniało,
 I zmrok wyglądał z każdego kątką :
 Porwani kwiatów i uczuć wonią
 Pod siódme niebo, kiedy tak gonią...
 Słyszeć się daje rzewny śpiew Jontka.

Któż z nas go nie zna? kogóż nie wzruszy?...
 To też gdy zabrzniał w głębi ich duszy
 Jak gdyby echem wspomnień dalekiem :
 Wzruszeni, ani wiedzieli sami,
 Gdy im źrenice zabiegły łzami
 I pocałunek złączył na wieki!...

I w téjże chwili, niby w dzień biały
 Cienie się nocy nagle rozwiały,
 Stało się jasno — i na ich lica
 Oczy i usta ich uśmiechnięte,
 Z za chmur, przez okno wpół odemknięte,
 Splynęło srebrne światło księżycą.

Stali tak milcząc długo, o! długo...
 I światło na nich płynęło strugą...
 I było cicho, jak posiał makiem :
 Ktoby się znalazł wtenczas przypadkiem
 Pośród téj ciszy, ten byłby świadkiem
 Dwu serc jak grały taktem jednakim.

*

*

*

Odtąd „na zdarzeń wezbranój fali“
 Miał zbiegnąć czasu przeciąg nie mały.
 Po dniach zachwytu, wrzących uniesień,
 Przyszły dni ciszy, jak wiek dojrzały
 Po wiosnie życia idzie, lub jesień
 Po skwarném lecie...


Co było dalej?

Autor milczy, i w epilogu,
 Gdy już ły szczęścia wszystkie wysączył,
 Dodaje tylko (według zwyczaju,
 Aby nie zmaćić miłości raj),
 Że święty kościół, na chwałę Bogu
 Ślubnym ich w końcu węzłem połączył.

Tak wszystko mu się w wieniec uwilo.
 Farb doń tak dobrał, tak je pogodził,
 Jakby po cierniach nigdy nie chodził!
 Jakby to życie złotym snem było!
 Tymczasem inna treść poematu
 A inna życia; jego sielanka
 Rychło się kończy — i bez ustanka
 Snuć potem trzeba wątek dramatu.

K. W. WÓJCICKIEMU.

Z OKOLICZNOŚCI JUBILEUSZU.

zczęsny, kto się w grób kładąc, pracą uznojoną,
Pełen przecież być może téj słodkiej otuchy,
Że choć zaginie w nocy niepamięci głuchój
Jednakże posiew jego wyda z czasem plony.

Stokroć jednak szczęśliwszy ten, kogo w mogile
Choć spóźniony głos bratniej miłości obudzi,
Ale zé wszystkich w świecie najszczęśliwszy ludzi,
Komu ona oświeci jasne życia chwile.

Któż jest pomiędzy nami, co mu się należy,
Przed innemi ten zaszczyt więcej niżli Tobie?
Z tyłu, w szczęśliwszej dziejów urodzonych dobie,
Každy niemal już wiecznym snem złożony leży.

Tyś sam pozostał. Niegdyś, w dniu powszechnój klęski,
Jeden z pierwszych stawałeś mężnie na wyłomie;
Potém, gdy nas dłoń Boża skarała widomie
Gdy los zawistny święcił swój tryumf zwycięzki:


Ty szedłeś — i z pod gruzów zwałonój świątyni,
Niezłomny poświęceniem, szermierzu nasz drogi,
Wynosiłeś na barkach swych ojczyste bogi,
Nie opuszczając placu, jak dobry wódz czyni.

Jeśli cię mimo tego w życiu nie ominął
Cierniowy wieniec, znamię prawdziwój zasługi,
Powiedz: kto na ten moment pielgrzymki niedługiój,
Kto i kiedy do cichój przystani zawinął?

Porzuć więc prózne żale: jednéj matki dzieci
Choć chwilowo możemy żyć z sobą w rozterce;
Ale jak zwykle jedno ożywia nas serce,
Ale jak zawsze, jeden, wspólny cel nam świeci!...



W IMIENNIKU W. P.


ej! ramię do ramienia“ — tak do nas zawołał
Niegdyś boży nasz kapłan, gdy już życie gasło.
I odtąd bezustannie brzmi nam święte hasło,
I los choć nas rozerwał — zatracić nie zdołał.

Więc ramię do ramienia! Każdy jako może
Niech wre żądzą zasługi, żywi miłość bratnią,
Aż przyjdzie wreszcie chwila nieszczęścia ostatnia
I Bóg da, że w zbawienia popłyniem przestworze!

Ty szermierzu, co idziesz wciąż o własnej sile,
Ufny, i taką czystą miłością nadobny,
Orle siłą, choć barwy noszący motyle,
Tys od nas stokroć więcej do dzieła sposobny!

My młodzi, ale w późnej urodzeni dobie,
Kiedy już mróz na drzewach wszystkie zwarzył kiście,
Bylibyśmy rozwiani jak jesienne liście,
Gdyby nie stało takich jak Ty — cześć więc Tobie!

W imionniku Maryi S.

 Są chwile, w których wszystko boli nas i drażni;
Chwile, gdy mimo hartu, pęka ducha zbroja:
Jedyny wtedy balsam — pociecha przyjaźni.
O! dzięki ci zań Pani, raczej siostró moja!

Daleki wewnętrznych bólów, lecz téż i rozkoszy,
Właściem myślał, jakiemi mam dziękować słowy
Za tę jój ze mną szczerłość, przyjaźń i rozmowy:
Gdy jedno jój „odjeżdżam“ -- wszystkie myśli płoszy,

Kiedyż cię znów, szczęśliwy, ujrzę i powitam?
Ach! jakże rychło zbiegły nam te dni niedługie;
Jakże rychło; lecz kiedyż przyjdą takie drugie,
W których znów „witaj siostró! jak się masz?“
zapytam.

Szczęściem, że na téj ziemi zawsze coś nas krzepi;
Więc i dziś, choć konieczność cię od nas oddala,
Choć nam z tobą, o ręczę, wszystkim było lepij,
Myśl, że ujrzym się znów, na lzy nie pozwala.

Żegnaj nam więc bez żalu; a gdy po dniach wielu
Oddalenia, choć myślą staniesz między nami,
Wspomnij o swoim biednym bracie, przyjacielu,
Ot tak w godzinę nudów, nie zawsze, czasami.

FRAGMENT.



Prez z poezją! to widm córa!
Romantyczne przeszły czasy;
Miasto pieśnią — śpiące massy
Budźmy dzisiaj wrzaskiem: „hurra!”

Precz! półbłędna ty hołoto:
Cny Anhelli, Irydyjonie
I ty, w Litwie i Koronie,
Słynny niegdyś Wajdeloto!

I wy wszyscy, co za niemi,
W ślad ciągniecie korowodem
Z jękiem bólu nad narodem,
Ród swój wiodąc nie z téj ziemi;

Wiecznie „smutni aż do zgonu“
Aż do zgonu chmurni, łzawi,
Klnący życie co was dławi,
Istne cienie Acheronu;

Tyle dzisiaj co proch warci:
Zgińcie wraz — i bezpotomni!
Niechaj o Was nikt nie wspomni.
Ród wasz podły i bękarci!

Miłość wasza i męczeństwo,
Ubóstwione ideały,
Dymem czczym! Wasz żywot cały —
Jednym długim snem...

Głos grobów:

Przekleństwo!!..

POCHODNIE NERONA.

PRZED PŁÓTNEM NIEMIRADZKIEGO.



prastarym Rzymie, stolicy świata
Krwawo zachodzi wolności słońce...
I gdzież są dawni swobód obrońcy?
Czy dali gardło pod topór kata?...

O! już nie szukać w nich starój enoty:
Gdy Rzym się pali, lud z głodu kona,
Oni, w bezwstydzie własnej sromoty
Chylą swe głowy do stóp Nerona!

Próżno, ach próżno na sprawcę zbrodni
Głos ludu „pomsty“ woła do nieba,
„Igrzysk i chleba! — krzyczą wyrodni —
Hej! daj nam igrzysk i chleba!“

Więc sprawił orgiję — da widowisko,
 Że pozazdrości i piekło!

A potem ręką, w urągowisko
 Krwią własnej matki ociekłą,

Wychylił puchar na cześć rozpusty
 Na łonie lubieżnej Fryne,

By bluźnierczemi nakoniec usta
 Śmiech rzucić w podłą drużynę!

* * *

Zmierzcha. Jużienne światło zagasło,
 Czas już rozpocząć krwawe obrzędy.
 Orgija przerwana. Na dane hasło
 Rzesza ciekawych, gdzie spojrzeć, wszędy
 Przez pałacowe zbiega kruzganki
 Pomiędzy żywe chrześcijan szpalery;
 Tam, z różanemi na głowach wianki
 Stoją już tłumem strojne hetery,
 Gładyjatorowie, skoczki, atleci,
 I obojętną źrenicą w oku
 Patrzą, jak rychło w nocnym pomroku
 Żywych pochodni blask im zaświeci.—
 Wtém „Neron! Neron!“ — Ucichły zgraje—
 I wraz — w złocistej niesion kolebce,
 Krwi cheiwy tygrys śród widzów staje.
 „To ci“—ponurym głosem wyszepce...

„To ci“—pówtórzy, i wzrok swój dziki
 Utkwi przed siebie, jakby chciał zbadać,
 Zkąd mogą nędzne te męczenniki
 Taką potęgę ducha posiadać?—
 Majaż zwyciężyć? Majaż ich święci
 Istotnie kiedyś zawładnąć światem?
 Ich Bóg pod Pontskim umarł Piłatem,
 Oni podemną pomrą przeklećci?

Dał znak — i patrzcie! Straszna ofiara
 Całopalenia już się zaczyna.
 Po jednej stronie ufność i wiara
 Dla których bije męczeństw godzina,
 Po drugiej widzim złości szatana:
 Tam duma, ludu łzami karmiona,
 Tu miłość boża!... Ach! któż pokona?
 Czyjaż i kiedy będzie wygrana?!

Minęły wieki od owój chwili,
 A Neronowych ogień pochodni
 Wciąż jeszcze płonie — na chwałę zbrodni!
 Próżno się ludzkość zalać go sili,
 Próżno, ach! ramię swoje wyteża,
 Wstaje i pada, znów się podnosi,
 Krwią męczenników o litość prosi
 I zwyciężona — sama zwycięża!


Lecz choć się chwieje jój losów szala,
Z jój pełnej bólu i męztwa twarzy
Czytasz, że prawda w końcu przeważy,
Że Bóg — zginionych nawet ocala!

CYGANIE.

PRZEKŁAD Z PUSZKINA.

CYGANIE.

I.

dzie Besarabii step lśni daleki
Cygańskie roją się koczowiska,
Tam raz podwieczór, nad brzegiem rzeki,
Jedno z nich właśnie, gdy noc już bliska,
Pod rozpiętymi legło namioty.
Sen ich i życie — to szczerozłoty
Uśmiech wolności! — W ogólnej wrzawie,
Wkoło ogniska, każda rodzina
Zasiada społem; gwarząc, zaczyna
Sposobić ucztę; w polu, na trawie
Pasą się konie; po za namiotem
Legł wolny niedźwiedź. I wraz step cały
Wre, kipi życiem: z głośnym łoskotem
Kowalskich młotów, wraz się zmieszały
Niewieście pieśni, dziecięce krzyki,
Śmiech i niesfornej dźwięki muzyki.

Lecz oto zwolna, w stepowój ciszy
 Pod snu objęcia wszystko się kłoni,
 Tak, że nic w końcu ucho nie słyszy
 Prócz psów szczekania lub rżenia koni.
 Pogasły ognie, jeno z wysoka
 Srebrno bladawy promień księżycyca
 Łagodnym blaskiem śpiących oświeca.
 Pod jedném jednak płótném namiotu
 Pozostał starzec; troska głęboka
 Sen spędza z powiek, spokój mu kłóci
 I każe córki czekać powrotu.
 Ta, do swobody z młodu nawykła,
 Pobiegła z wiatrem i w stepie znikła:
 Ona nie zginie, ona powróci.
 Starzec wie o tém — jednak się zżyma,
 Noc późna, miesiąc zająć już zamierza,
 Ostyga dawno skromna wieczerza,
 Zemfiry niéma dotąd — i niéma.

Otóż i ona. Wraca, lecz przy niej
 Nieznany jakiś młodzian starcowi:
 „Ojeze! znalazłam gościa w pustyni“,
 Promieniejące dziewczę przemówi —
 „Gdym biegła stepem, tam pod kurhanem
 Błądził samotny i pewnie głodny;
 U nas mieć będzie nocleg wygodny,
 On, jak my, pragnie zostać cyganem.

Jego ach; ściga prawo zabójcze,
 Lecz ja go będę kochać jak brata...
 On się nazywa Aleko. Ojeze!
 On gotów za mną iść na kraj świata“.

Starzec.

Proszę cię, bracie, rozgość się śmiecie
 Jak tylko zechcesz; przez noc, czy dłużej,
 Niechaj ci chleb nasz na zdrowie służy,
 I chleb i dach swój z tobą podzielę.
 Zostań, przywyknij do naszej doli,
 Jutro z dnia brzaskiem razem pojedziem.
 Tułaczój naszej swobodzie gwoli
 W pracy się spokój znaleźć spodziewaj;
 Więc kuj żelazo, więc pieśni śpiewaj
 I sioła, miasta, obchodź z niedźwiedziem.

Aleko.

Dobrze — zostanę.

Zemfira.

On mój na wieki!
 Któż mi go wydrze? Lecz już poranek
 Zdaje się w nocnej mgie niedaleki,
 Zaszedł już dawno miesiąc kochanek...
 I sen mi ciężkie klei powieki.

II.

Już świta. Starzec rzeźki i zdrowy

Dokoła cichy namiot obchodzi :

„Wstań, wstań Zemfiro! słońce już wschodzi ;

I ty mój gościu zbudź się , już pora!“

Wraz wszystka dziatwa do drogi skora

Zrywa się ze snu, dalej a dalej,

I cały tabor w pochód gotowy

Jak nurt wezbranęj rzeki już wali.

Mężowie, bracia, dziewice, żony,

Starzy i młodzi, zmieszana rzeszą

Tłumnie i gwarno wesoło spieszą,

Śmiech, krzyk i pieśń, zgiełk, szum i wrzawa,

Nagota dzieci, barwność jaskrawa

Strojów, niedźwiedzia ryk przenikliwy,

Łańcuchów jego brzęk niecierpliwy,

Mruczenie kobzy, psów szczęk i wycia,

Skrzyp kół i wozów w jeden ton złane

Z hucznym akordem grzmiących okrzyków,

Choć dysharmoniją taką brzemienne,

Takie niesforne i tak niezwykle,

A jednak, jakże barwne, odmienne

Od tego życia, co w nas tak nikłe

Drży, jak posępna pieśń niewolników!

III.

W oku młodziana, gdy na równinę

Patrzył bezludną , mogłeś wyczytać

Tajoną troskę ; o jój przyczyne

Nie śmiał własnego serca zapytać.

Dziś, kiedy słońce nad jego głową

Świeci tak jasno, a życie nową

Swobodą nęci ; gdy dziewczę swoim

Mirtowym wiankiem skroń mu oplata :

Dlaczegoż serce drży niepokojem

I dziwny ciężar pierś mu przygniata ?...

Boże ptaszę pragnie nucić

Pieśń swą tylko — i widocznie,

Zanim gniazdo wić rozpocznie,

Wie, że przyjdzie je porzucić.

Na gałązce, wśród gęstwiny,

Noc mu przespać nie dziwota,

A gdy błysnie jutrznia złota

Pieje Stwórcy hymn dziękczynny.

Przejdzie wiosna, lato minie,

Ot i słońca już i jesień

I czas ludziom smutno płynie,

Bez radości i uniesień ;

Ptaszę jeno próżne troski,
Zanim błysnie nowy maj,
Nucąc dalej hymn swój boski
Ulatuje w ciepły kraj.

Tym samym właśnie żył i on wzorem
Ani się troszcząc przyszłości szkodą;
Każda mu droga stała otworem
I cały świat ten był dlań gospodą.
Ciszy i szczęścia własnego gniazda.
Cudownych owych chwil wniebowzięcia,
Nie zaznał nigdy; od niemowlęcia
Przez świat pielgrzymia wiodła go gwiazda.
Niekiedy jednak wabił go wieniec
Dalekiej sławy, to znów na lica
Chwilowych uciech zbiegał rumieniec...
Zbiegał — i znikał jak błyskawica.
Częściej nad głową jego sierocą
Szalały burze i biły gromy, —
Spokojny wówczas i nieruchomy
Ani pomyślał, czy go zdruzgocą
Czy ocaleje. Dzień, co miał przeżyć
Oddawał zwykle na wolę Boga,
I obcą była mu życia trwoga;
W ślepotę losu zdał się nie wierzyć.
Lecz tą uległą na pozór duszą,
Boże mój Wielki! jakież miały

Żądze i troski! jakąż katuszą
Były dla jego piersi zbolalój!
Czy dawno zmiłkły i na jak długo?...
O to nie pytaj — serce nie służy.

IV.

Zemfira.

Czy téż ci nie żal, o mój kochany,
Tych miejsc, gdzieś wiek swój przepędził młody?

Aleko.

Tych miejsc?...

Zemfira.

Nie tęsknisz za temi lany
Ojczystej ziemi, sioły i grody,
Za braćmi swemi, do których może
Już los powrócić ci nie pozwoli?..

Aleko.

Przestań... Ty nie znasz tych miejsc niewoli!
Za duszącemi z murów przegrody
Żyją tam wprawdzie ludzkie gromady,
Ale ich życie, pożał się Boże,
Istna komedyja fałszu i zdrady!

O tam nie znają téj łąk świeżości,
 Nie oddychają wonią poranku;
 Lecz raz wzgardziwszy niebem miłości,
 Zabiwszy ducha: już bezustanku
 Czei bałwochwalczej okryci tarczą,
 Własnej wolności skarbem frymarczą;
 W najsroźsze jarzmo biegną z ochotą,
 Prosząc się tylko o chleb — i złoto!...
 Za czém-ż mam tęsknić? cóżem porzucił?
 Klątwy przesądu, tryumf obludy,
 Blyszczącą hańbę, czy marne trudy?..
 Ach! obym nigdy do nich nie wrócił.

Zemfira.

A owe pyszne zamki i sale
 Różnobarwnego pełne kobierca?
 Te huczne uczty i świetne bale,
 Świetniejsze dziewic stroje — i serca?...

Aleko.

Cóż wart szal uciech, gdzie brak miłości?
 W wystygłych piersiach szczęście nie gości;
 A dziewic roje — o te najmniejsza:
 Choć cię nie zdobią ich perły, kwiaty,
 Ni naszyjniki, ni strój bogaty,
 Tyś od nich luba stokroć piękniejsza!

Jedno jedyne tylko błaganie:
 Pozostań taką na zawsze dziecię; —
 Dla twój miłości poświęcę życie
 I dobrowolne oddam wygnanie!

Starzec.

Wśród bogatego zrodzon narodu
 Snać naszą dolę kochasz ubogą,
 Ale nie zawsze wolność jest drogą
 Tym, co do wygod nawykli z młodu.
 Jest między nami jedno podanie:
 Z kraju południa, swojej ojczyzny
 Zesłany został tu na wygnanie,
 Jako wieść niesie, nieznanym jeniec.
 Nazwiska jego, ja prostak wiejski,
 Dziś już nie pomnę. Choć szron siwizny
 Biednego starca do grobu zginał,
 Świeżością uczuć jeszcze młodzieniec,
 Posiadał pieśni dar czarodziejski,
 Głosem szemranie wód przypominał.
 Prawda na ustach i serca tkliwość,
 Oto i wszystko, czém między nami,
 Po nad Dunaju żyjąc wodami,
 Powszechną sobie jednał życzliwość.
 Słaby, bezsilny i tak nieśmiały,
 Tak był trwożliwy, jak małe dzieci;
 Obey téż ludzie dlań przez rok cały
 Zwierza i ryby łowili w sieci.

A gdy zimowe przyszyły zamieci
 I lód się ścinał na rzecznej fali,
 Pragnąc ból starca miłością koić,
 Ciz sami ludzie w swój nad nim pieczy
 W futrzaną skórę go odziewali.
 Nie mógł się jednak nigdy oswoić
 Z owemi troski w życiu tułacząc;
 Trawiące ducha pragnień zarzewie,
 Podniecał jeszcze tęsknoty płaczem.
 Mówił, że Bóg go w swym słusznym gniewie
 Karze za przeszłe żywota grzechy;
 Tak oczekując światła pociechy,
 Po nad brzegami błądził Dunaju
 Marząc i mówiąc wciąż o swym kraju,
 Jak mu dni szczęścia wrócą weselne
 Gwiazda zbawienia błysnie jedyna.
 A gdy nadeszła śmierci godzina,
 Ostatnia prośba starca ta była,
 By chociaż jego resztki śmiertelne
 Ojczysta ziemia przyjąć raczyła.

Aleko.

O światowładny, potężny Rzymie!
 Takiż to los tve spotyka syny?...
 Wieszczu! miłości piewco jedyny,
 Czémże jest sława? jakie jój imię?

Jest-że nią zmieszany z żywszém serc biciem
 Ów czei pokoleń szmer pogrobowy,
 Czy wyrażona prostemi słowy
 Powieść pod dymnej kuczcy pokryciem?

V.

Przeszło dwa lata. I znowu roje
 Cygańskiej stepem ciągną drużyny,
 Znajdując w progach chętną gościny
 Wszędzie spoczynku cichą ostoję.
 Wzgardziwszy świata więzy próznemi,
 Wolny od jego trosk i tęsknoty,
 Aleko dni swe wciąż razem z nimi
 Pod wędrownemi spędza namioty.
 Ten sam co dawniej, cichy, surowy,
 Lat się minionych zbywszy pamięci,
 Tak nawykł wreszcie k'cygańskiej doli,
 Że bezustannę tułacze gwoli,
 Nad cień noclegu, nad dźwięk ich mowy
 Nic go już więcej w życiu nie nęci.
 Niedźwiedź, ten jego gość czworonożny,
 Ów zbieg z ostępów rodzinnej puszczy,
 Wciąż przed oczyma trwożliwej tłuszczy
 Po wszystkich stepu siołach przydrożnych
 Targając łańcuch swój niewolniczy,
 Niezgrabnie tańczy i groźnie ryczy.

Starzec naówczas na kiju wsparty,
 Zwolna, leniwie w bęben uderza;
 Aleko śpiewem prowadzi zwierza
 Wkoło ciekawych, a zaś Zemfira
 Dań dobrowolną od nich odbiera.
 Wieczór znużeni pracą wzajemną,
 Gotują kaszę we troje; potem
 Starzec zasypia — i pod namiotem
 Jak posiał makiem cicho i ciemno.

VI.

Na słońcu wiosny, już grobu bliski
 Starzec krew w żyłach stygnącą grzeje;
 Zemfira śpiewa pieśń u kołyski,
 Aleko słucha, drży i blednieje:

Zemfira (*śpiewa*).

Złość się dziadu, pień jak lew
 Skraj mię żywcem, zabij, spal,
 Mnie nie straszny ni twój gniew
 Ani ogień, ani stal.
 O! bo ja cię nienawidzę,
 Mrę z miłości i z twój złości
 Sobie szydę!

Aleko.

Milcz! przestań śpiewać jak na pogrzebie;
 Wiesz, że nie lubię tych dzikich pieśni.

Zemfira.

Ha, ha, nie lubisz? Niech ci się nie śni
 Kiedy ja śpiewam, że to dla ciebie.

(*Śpiewa*).

Skraj mię żywcem, zabij, spal,
 Z gniewu twego sobie drwię —
 Niezem dla mnie ogień, stal,
 Nigdy go nie ujrzysz, nie!

Świeży jako wiosny ranek,
 Od letniego dnia gorętszy,
 Żar miłości jego świętszy
 Niżli może dać kochanek.

Gdybyś widział jak go pieszczę,
 Jak do piersi mię przyciska!...
 Gdybyś słyszał ach! złowieszcze
 Nasze z ciebie pośmiewiska!

Aleko.

Milcz! dość téj pieśni, mam jęj do syta.

Zemfira.

Aha, nareszcie myśl ci rozświta.

Aleko.

Przebóg! Zemfiro!...

Zemfira.

Gniewaj się zdrowo —

Pieśń tę o tobie zacznę na nowo.

(Wychodzi śpiewając „Złość się dziadu i t. d.”)

Starzec.

Tak — pomnę odkąd krążyć poczęła
 Ta pieśń wśród ludu, i z kąd się wzięła.
 Ją to, bywało, nocą zimową,
 Siedząc przy ogniu w stepach Kaguła
 Podczas noclegów, nad dziecka głową
 Śpiewała niegdyś moja Maryjuła.
 Choć wiek wspomnienia zaciera, kruszy,
 I wciąż je mglistsza kryje zasłona,
 Pamięć téj pieśni nieuroniona,
 Tkwi dotąd w głębi méj duszy!

VII.

Noc. Wkoło cisza, i blask miesiąca
 Upiększa niebios strop lazuruwy:
 „Ojcie! — zawoła Zemfira drżąca —
 Patrz na Aleka, jak on się męczy,
 Jak przez sen strasznie szlocha i jęczy“.

Starzec.

Ani go dotknij — spokój grobowy!...
 Słyszałem, pomnę, takie podanie:
 Gdy w porze, kiedy północ nastaje,
 Usłyszysz nagle śpiącego łkanie,
 Śnać duch rodzinny spać mu nie daje.
 Przed świtem znika. Siądź tu koło mnie.

Zemfira.

Słyszysz mój ojcie?... On mówi do mnie,
 Szepta: Zemfiro!...

Starzec.

Nawet i we śnie
 Tyś jemu droższa nad wszystko w świecie!

Zemfira.

Dość tego jarzma, co pierś mi gniecie!
 O! tak mi jakoś tęskno, boleśnie,

Że chcę... Lecz cicho! zemsta nie drzymie...
Słyszysz go czyje wymawia imię?

Starzec.

Czyż to imię?

Zemfira.

Słyszysz ten głuchy

Jęk i zgrzyt zębów, aż strach mnie bierze!

Ja go obudzę.

Starzec.

Niech cię Bóg strzeże!

Nie czyn na próżno, co nie w twój mocy:

Jak przyszły, same odejdą duchy.

Zemfira.

...Zda się odwrócił

Patrz! wstaje... woła... już się ocucił.

Bądź zdrow mój ojeze — spokojnej nocy.

Aleko.

Gdzieżeś to była?

Zemfira.

Z ojcem siedziałam;

Lecz straszny ciebie sen musiał dręczyć,

Boś nie przestawał płakać i jęczyć?

A takeś ciągle zgrzytał zębami

I wołał na mnie, że cała drżałam.

Aleko.

Bo śniło mi się, że między nami
Stał ktoś... Ach, straszne — straszne obrazy!

Zemfira.

Sen, mówią, mara — sen przeniwierca,
Miałbyś mu wierzyć?.. powiedz mi szczerze.

Aleko.

O nie! ja dzisiaj w nic już nie wierzę:
Ni w sny, ni w słodkich zakłęt wyrazy,
Ni nawet w czystość twego serca!

VIII.

Starzec.

Za czém tak wzdychasz szaleńcze młody,
I bezustannie lży pijesz własne?
Tu ludzie wolni, tu niebo jasne,
Tu krasawice słynne z urody; —
Nie płacz więc; żal swój ukój choć trocha.

Aleko.

Mój ojeze! ona mnie już nie kocha.

Starzec.

Pociesz się bracie: blahemi fraszki
 Zajętąj myśli ból twój nie wzruszy,
 Ty kochasz całej potęgą duszy,
 Serce kobiece zaś dla igraszki.
 Widzisz ten księżyc w niebios przestrzeni,
 Jak wszędzie równe światło rozdziela?
 Ledwie że blaskiem swym opromieni
 Samotny obłok, wnet idzie dalej,
 Okiem swym inne już rozwesela.
 I któż go wstrzyma w owej pogoni,
 Swobodzie jego metę zakreśli?...
 Któż z nas kapryśnej dziewczęcia myśli
 Roić, a sercu kochać zabroni?
 Pociesz się bracie!

Aleko.

Jak mię kochała!...

Nieraz, w pustynnej ciszy, bywało,
 Tak mi się tkliwie na pierś pochyli
 I tak przepędzim z sobą noc całą.
 Ach! ona jedna tylko umiała
 Duszę mą w jednej rozjaśnić chwili.
 Często, na jeden uśmiech jój złoty,
 Na jedno słówko słodkiej pieśczoty,

Niknęła troska z mojego czoła
 I w dal pierzchała myśl zwykle smętna.
 Ach, wczoraj jeszcze taka wesola
 Zda się, a dzisiaj — tak obojętna!

Starzec.

I jam przechodził różne koleje.
 Dziś już niejedną pamięć boleści
 Wygasła z wiekiem: stare to dzieje,
 Jednak... posłuchaj słów méj powieści.
 Gdy jeszcze Moskał nam niezagrażał,
 I tylko dziki Turczyn przerażał,
 Zwierz Akermanu rządził budżakiem
 Jakiś tam Pasza. Bez źdźbła siwizny
 Naówczas człowiek, rzeźki i młody,
 Żałując niemal, że nie był ptakiem,
 Aby mózdz lecieć, gdzie słońce płonie,
 Radbym skosztować nawet trucizny,
 Pójść z samym nawet dyjabłem w zawody!...
 Wówczas to w naszych krasawie gronie
 Ujrzałem jedną. Pełen podniety
 Widok jój dotąd wzrok mój niewolił,
 Dokąd mi wreszcie Bóg nie pozwolił
 Nazwać jój swoją.

Szybko, niestety,
 Minęła życia mojego wiosna;
 Lecz ta w niej szczęścia doba radosna

Ach, stokręc szybciej! — Rok tylko jeden
Trwał ten na ziemi rajski mój eden.

Raz, pośród eichych w stepie kurhanów,
W pobliżu wartkiej Kaługi brzegów,
Spotkał nas tabor obcych cyganów.
O! nie zapomnę tych trzech noclegów
Spędzonych z niemi; bo kiedy trzeci
Nadszedł — i poszli od nas zdradziecko,
Pospołu z nimi, rzuciwszy dziecko
Znikła Maryjuła. Wtem dzień zaświeci,
Zrywam się ze snu, lecz już niestety
Ani jój śladu; szukam i wołam —
Jak kamień w wodę! — Czyliż ci zdołam
Opisać płacz ów Zemfiry malój,
Własne łzy moje, serca ból cały?..
Odtąd mi zbrzydły wszystkie kobiety,
I chociaż ujrział najbardziej ładną,
Żadna nie mogła mię rozweselić,
I nigdy, nigdy nie chciałem podzielić
Chwil samotności mojej już z żadną.

Aleko.

I któż cię wówczas wstrzymał w pogoni
W ślad za niewierną i za jój gachem,
Że mając ostry kindżał w swój dłoni,
Głów ich nie zmiotłeś jednym zamachem?!

Starzec.

Po co?.. Kto kiedy młodość ukróci?
Powstrzymać miłość w czyjjej-że sile?
Każdy ma w życiu szczęśliwą chwilę
I co minęło — już nie powróci!

Aleko.

O jam nie taki i tém się szczyję;
Swych dobrowolnie praw się nie zrzekę,
A nie — to chociaż zemstę nasycę
I wrogów moich krwią choć ocieknę!
Nie! gdybym nawet po nad otchłanią
Morza, odnalazł śpiącego wroga,
I tu przysięgam, nigdyby noga
Moja złoczyńcy nie oszczędziła,
Lecz w przepaść morza by go strąciła.
Nagłą ach wówczas grozę zbudzenia
Jabym mu śmiechem piekła obwieścił,
I długo potem, patrząc bez drżenia,
Echem upadku jego — słuch pieścił.

IX.

Młody Cygan.

Jedno, ostatnie pocałowanie!

Zemfira.

Czas iść — Aleko zły i ponury.

Cygan.

No jeszcze jedno — na pożegnanie!

Zemfira.

Puść mię, bo jeszcze wpadnięm w zasadzkę.

Cygan.

Na kiedy nową naznaczasz schadzkę?

Zemfira.

Na dziś. Jak księżyc zajdzie za chmury...

Tam, pod kurhanem, u téj mogiły...

Cygan.

A pewno przyjdiesz?

Zemfira.

Przyjdę mój miły.

X.

Noc. Tabor twardym snem odpoczywa,
Lecz w snach Aleka okrutna męka,
Straszny się jakiś dramat rozgrywa.
Budzi się z krzykiem... zmartwiała ręka
Za zimne tylko chwyta pokrycia;
Zdjęty więc trwogą, nadstawia ucha —
Nic — prócz uderzeń własnego życia,
Cisza — snąc nie ma żywego ducha.
Otrząśnie ze snów płonąca głowę,
Żar i chłód biją nań naprzemiany...
Ślania się niby widmo grobowe,
Wreszcie wybiega jak obłąkany.

Spojrzał dokoła... Wśród nocnej ciszy
Rój gwiazd niepewnym światłem migoce,
Świat jak zaklęty, step mgłami dyszy,
Tylko po rosie ledwo widziany
Ślad za dalekie wiedzie kurhany
Kędy mogiła i jar głęboki. —
Tam więc kierując chwiejne swe kroki
Idzie... drży serce... bledną mu wargi...
I nagle... nagle, jakby na dłoni
Ujrzy dwa cienie... słyszy ich skargi
Ich szept tłumiony słyszy — To oni
U zbeszczeszconej stoją mogiły.

Głos Pierwszy.

Już czas.

Głos drugi.

Chcesz odejść?

Głos pierwszy.

Czas już mój miły.

Drugi.

Nie, nie. Zaczekaj jeszcze do rana.

Pierwszy.

Już późno.

Drugi.

Chwilkę.

Pierwszy.

Późno.

Drugi.

Kochana!...

Pierwszy.

Zgubisz mię.

Drugi.

Chwilkę.

Pierwszy.

Zważ tylko sobie,

Jeśli się zbudzi...

Aleko.

Jużem się zbudził.

Dokąd spieszycie? czym wam przeszkodził?
Stójcie! wam dobrze i tu, na grobie.

Zemfira.

Uchodź czempredźej, uchodź! nie zwlekaj!
Na miłość boską uchodź!..

Aleko.

Zaczekaj!...

Nie spiesz się bratku, masz niedaleko...
Leż podły zdrajco! (*zabija go*).

Cygan (*padając*).

Boże!

Zemfira.

Aleko!

Ty go zabijesz! on we krwi cały!...
I cóżeś zrobił!...

Aleko.

Nie. Teraz gruchaj
Choćby do rana, gołąbku biały.

Zemfira.

Śmiesz szydzić jeszcze? dość mam twój złości.
Nikczemny zbójco!...

Aleko.

Milcz tu — i słuchaj!

Lub giń z nim razem! (*uderza ją*)

Zemfira (*konając*).

Ginę z miłości.

XI.

Już świt stał w rannej życia ozdobie,
Aleko jeszcze z krwią obryzganém
Nożem, ze wzrokiem zbójcy, na grobie
Po za stepowym siedział kurhanem.
Przed nim dwa trupy, a na uboczy
Trwożni cyganie kopią dół; przodem
Kobiety smutnym mkną korowodem,
Całując martwych w usta i w oczy.
Sam tylko starzec, z osieroconą,
Siwą swą głową, siedząc bezwładny,
W niemój boleści, choć bież lży żadnej,
Pogląda z dala na utraconą.

Aleko siedział wciąż nieruchomy,
Milczał i patrzył. Ów żal widomy
Na wszystkich licach, żal ów prawdziwy,
Zdał się dlań obcym; lecz gdy ostatnią
Garść już na zmarłych ziemi rzucili,
W téj stanowczego rozstania chwili,
Nagle się zachwiał — i jak nieżywy
Padł u mogiły.

Wówczas w te słowa
Rzecz doń starzec: „Niech Bóg uchowa,
Bym tu miał wszczynać skargi niewczesne,
Czynić wyrzuty, lub próżne żale,
Albo rozjątrzać rany bolesne.
My praw nie znamy, i nie pragniemy
Krwi ani jęków nieczyich; ale
Żyć się z zabójcą nie odważymy.
Nie, tyś nie zrodzon do naszej doli:
Sam w wyuzdanój chcąc żyć swawoli,
Radbyś na drugich nałożyć pęta;
Pokój więc z tobą! — Niech cię nie dziwi,
Żebyś nas odtąd przerażał trwogą,
My ludzie prości i bojaźliwi,
Tyś zły i dumny. Idź własną drogą.
I niech ci tego Bóg nie pamięta!

Skończył, a cały tabor koczowy
 Ruszył jak rzeka wzdętém korytem,
 I zwolna malał w dali stepowój...
 Aż wreszcie zniknął. W polu odkrytém
 Została tylko jedna telega. —
 Tak w mgle jesiennój, kiedy się pławi
 Łańcuch spóźnionych w drodze żurawi,
 Nagle z nich jeden ani spostrzega,
 Jak pozostając krwią ubroczony
 Od wędrownego opodał stada,
 Ranny, z obwisłym skrzydłem, upada
 I ginie w polu osamotniony!


Pusto i ciemno. Na stepie smutnym
 Znów noc nadeszła; ale nikogo
 Już nie zastała, coby spał błogo
 Pod ruchomego namiotu płótnem.



DWA FRAGMENTY.

Z Niekrasowa.

POCZCIWOŚĆ.

 Wiodąc swe życie jak najprzykładniej,
Cudzej się krzywdy jak ognia boję.
Raz, gdy mię żona zwiódła szkaradnie
Gdym z przyjaciółmi zszedł ich oboje :
Ten, coby winien iść wprost na stryczek,
Dostał odemnie tylko policzek.
Chciał pojedynku. Tymczasem ona
Wstydem i żalem srodze gryziona,
Umarła z bólu lejąc łez zdroje.
I któż wyroki niebios odgadnie?...
Wiodąc swe życie jak najprzykładniej
Cudzej się krzywdy jak ognia boję.

II.

Raz mi przyjaciel, w dzień terminowy
 Nie spłacił długu. Sprzeczeki nie chciałem;
 Więc mu najgrzeczniej w świecie wspomniałem,
 Żem spór pod wyrok oddał sądowy.
 Skaran więzieniem, umarł nieboże
 Nie dawszy grosza. Któż się spodziewał?
 Ten, kto ma słuszność, gniewać się może;
 Jam się na niego jednak nie gniewał.
 W smutku i żalu, całym dług snadnie
 Puścił w niepamięć lejąc łez zdroje,
 Wiodąc swe życie jak najprzykładniej,
 Cudzej się krzywdy jak ognia boję.



III.

Ł prostego chłopca, po ciężkim trudzie,
 Udało mi się zrobić kucharza.
 Za dobre serce często się zdarza,
 Że niewdzięcznością płacą ci ludzie.
 Mój pupil, zamiast kuchni pilnować,
 Jął się wnet uczyć i medytować.

Cheąc go z téj stroméj sprowadzić drogi,
 Gdym mu ojcowskie sprawił batogi,
 Hultaj! utonął, i całą moje
 Tak długą pracę zmarnował zdradnie.
 Wiodąc swe życie jak najprzykładniej,
 Cudzej się krzywdy jak ognia boję.

IV.

Miałem ja córkę o sercu — złotém,
 Lecz pustéj głowie; bo się jejmości
 Chciało wyjść za mąż gwałtem z miłości.
 Groziłem kłatwą, lecz mię swym płaczem
 Tak rozbroiła, żem wkrótce potem
 Wiózł ją do ślubu z siwym bogaczem.
 Dom ich był jedną balową salą.
 Jedni zazdroszczą, drudzy ją chwala,
 A ja zaś kocham coraz goręcej.
 Tymczasem dziewczę, z każdym dniem więcej
 Jakoś smutniejsze, gaśnie mi, błednie...
 W końcu umiera na żalność moję!
 Wiodąc swe życie jak najprzykładniej,
 Cudzej się krzywdy jak ognia boję.



OSTROŻNOŚĆ.



o spienionych wód głębinie
Wątła łódka cicho mknie,
Młodój, ślicznój eud dziewczynie,
Taką piosnkę Janek śle:
„Jakaż pustka tu dokoła
Na téj wyspie. Oprócz nas,
Ani księdza, ni kościoła,
Jeno woda, zwierz i las.
Duszko moja! czyż podobna
W taką ciemną, chłodną noc,
Pozostawać nam zosobna?
Znasz ty uczuć wieczną moc?...
Gdy od morza wiatr dochodzi,
Ziębną członki, wierzyć chciéj:
Lisia szubka nie zaszkodzi
A pieszczota jeszcze mniej.“

„Prawdę szczerą śpiewasz Janku,
Świat ci jednak za bezbożność
Ją poczzyta; mój koehanku,
Lepiej radzę ci ostrożność.“



I.

Pewien mądry i pobożny
Stary tatuś córkę miał.
Ta, gdy Jaśnie ją Wielmożny
Radea już zaślubić chciał,
Nagle rzekła, że nie może
Pójść za niego mimo prób
Prośb i groźb; i żał się Boże!
Z jakimś hłystkiem wzięła ślub.
Horror! może-ż się to zdarzać?
Nie, ja nasze damy znam;
Mówić o tém — to spotwarzać
Pozytywność naszych dam.
Że tam jedna, lub dwie głowy
Zapalone — mniéjsza z tém;
Ogół jednak postępowy.
Poświęcenie... Eh, czezy dym!
Za gołębim ściagać lotem,
Wierzaj, śmieszna dziś pobożność.
Chcesz mieć spokój, nie mów o tém,
Z duszy radzę ci — ostrożność.



II.

Hrabia Alfred całe życie
 Spędził w pracy: jadł i pił,
 Grał w ruletę znamienicie,
 Kochał balet z całych sił.
 Aż nareszcie z sercem chorém
 Po nad grobu zaszedł próg;
 Ale stał się arcy-wzorem,
 Jak krajowi spłacać dług!
 I ty głosisz, że dziś nie ma
 Ludzi zasług, pełnych cnót...
 Wiedz, że twoja anatema,
 Próżno tylko burzy lud.
 Wstydz się mieszać w tłum krzykaczy,
 By daremny szerzyć strach.
 Pomnij sobie: zginiesz raczej
 Zanim z próchna dźwigniesz gmach.
 Nie chcesz działać nadaremnie,
 Zważaj zawsze na niemożność,
 Schlebiaj, proś się, płaszcz niekzemnie
 I zachowaj wciąż — ostrożność.

III.

Czy pomnicie? Rzecz to świeża
 I niedawna. W ciężki czas,
 Jak nowego pan przymierza,
 Przyszedł nagle Rotszyld nasz.
 Przyszedł jeden, za nim drugi,
 I zaczęto słodko śnić;
 Tłum biegł cały na wysługi.
 Tyle ludzi pragnie żyć...
 Tyle ludzi chleba łaknie,
 Wszędzie jeden płacz i ścisk...
 „Więc paryjasów nam nie braknie!
 W nędzy wszystkich tkwi nasz zysk“,
 Rzekł Jan — nastał dzień roboczy —
 Marna płaca — wielki trud —
 Zecerwienione od łez oczy,
 Podniósł w niebo paryjów ród.
 Wie on, że to wszystko złuda,
 Zna on dobrze Ich Wielmożność;
 Chciałby jeszcze wierzyć w cuda,
 Lecz... Przez żywy Bóg — ostrożność!



43757